Nr. 28. We Lwowie dnia 9. lipca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przy szumie drzew.

Z CYKLU »MIŁOŚĆ«.

W wielkiej świątyni Przyrody, pod niebios
Jasnem sklepieniem, w zielonym
Lesie, wyrosłym na łagodnem wzgórzu,
Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby...

* * *

Czerwcowe słońce, wtargnąwszy przez gęstą
Tkaninę liści do głębiny boru,
Kładło się swojem promienistem ciałem
Na świeżą trawą okrytej polanie,
Albo ukradkiem całowało kłody
Omszałych buków i klonów.... Kropelki
Srebrzystej rosy, snać jeszcze od rana,
Lśniły się w miejscach, gdzie wieczyste, widać,
Panują cienie — na pochyłych stokach
Dołów, tonących w paprociach, śród starych
Pniów, z wilgotnego ulepionych próchna.
Z pomiędzy trawy wychylały główki
Białe stokrotki i niebieskie dzwonki,
Do symbolicznych podobne kielichów,
Mieszczących na dnie tajemne słodycze
Dla dusz, co, z ziemią rozerwawszy węzeł,
Pną się ku niebu, skąd wzięły początek.
Smukłe storczyki, by jacy rycerze
Z lilipuciego królestwa, na państwo
Ziół zmienionego, wznosiły do góry
Dumne szyszaki, błękitnemi barwy
Pomalowane, a gminny biedrzeniec,
Czujący swoją przewagę, w pobliskich
Skryty zaroślach, urągał ich pysze.
Obok ścieżynki, wiodącej do serca
Starego lasu, złociły się mlecze
Krągiem szerokim, a spór z niemi wiodły
O atom miejsca jaskry i srebrniki,
Przytulające aksamitne piersi
Do ciepłej ziemi. Z pośród wonnej trawy
I mchów jedwabnych poziomka wstydliwą
Skroń wychylała, lub dziewiczo piękna,
Okiem brutalnych przechodniów zapewne
Niedostrzeżona, z swych siostrzyc ostatnia,
Widać, konwalja, a od skraju lasu
Słały swój zapach krzaki tomentozy.

* * *

Na mchach siedliśmy, milczący oboje,
Ona, na łono opuściwszy ręce,
Kwiat jakiś w palcach trzymała, zrywając
Z białej korony listek po listeczku.
Jak szczypty pierza miękkiego, lub śniegu
Maleńkie płatki, wionęły pod moje
Stopy te życia złamanego szczątki.
Powieki miała spuszczone. Od czasu
Tylko do czasu, kiedy nad głowami
Natrętna osa, wyrwawszy się z gniazda,
Skrytego w ziemi, krążyć rozpoczęła,
Brzęcząc jak echo rozbitego dzwonka,
Podniosła w górę źrenicę, podobną
Do niezabudki, na której pozostał
Ślad mgły porannej albo ślad kropelki
Dżdżu wiosennego. Wtedy mimo woli,
A może z wolą wewnętrznego pędu,
Uwięzionego gdzieś w najgłębszej toni
Dziewiczej duszy, by koral w przepaściach
Oceanowych, wzrok jej błyskawicznie
Spotkał się z mojem spojrzeniem i naraz
Żywy rumieniec, jakby wstyd ją było
Myśli tajemnej, zakwitnął na twarzy.
Opadłej znowu na piersi. I ręce
Poczęły znowu obrywać listeczki
Z ziół, rozrzuconych na łonie.... Z wstydliwej,
Słodkiej bezwładzy wyrywał na chwilę
Schyloną postać nagły chrzęst w konarach
Bliskiego drzewa, na które brunatna,

Zwinna skoczyła wiewiórka, lub szelest
Przemykającej łasiczki, lub jaszczur,
Gdy się po trawie u jej stóp przewinął.
Czasem na dłoń jej upadła biedronka
Lub wpełznął owad zielonawo-złoty,
Zrodzony w trawie, wychowany w słońcu.
»Boisz się?« szepnę. Drgnęła, a jej oko
Jeszcze się głębiej pod rzęsy schowało,
Pod długie, gęste, pod te ciemne rzęsy,
Pokrywające tajemnice duszy,
Niby zasłona, co ongi, przed wieki,
Skrywała w Sais święty obraz bóstwa.

* * * *

Onieśmielony byłem jej milczeniem.
A przecież w ślad jej śpieszyłem, by oto,
Zdala od zgiełku i od targów świata,
Rzec jej w tej ciszy uroczego lasu,
Że choć na życia przypadkowych drogach
Spotkaliśmy się, jak się spotykają
Przez wiatr odcięte z różnych pniów gałęzie,
Mamy w swem wnętrzu coś, co już na wieki
Złączyć nas winno. Lecz znowu, jak nieraz,
Onieśmielony byłem jej milczeniem.
I wątpliwości, jak rój młodych wężów,
Które podnoszą nad krawędzie gniazda
Swe drobne głowy, powstawały we mnie:
Czy znam jej wnętrze i czy jest w niem kącik,
Który na wyraz czarodziejski »kocham«
Wyrośnie dla mnie w świątynię, jak owe
Z ludowej baśni kościoły, co w pewnych
Chwilach umieją zmienić się z maleńkiej,
Prostej kaplicy w wspaniałe katedry
O strzelających ku niebiosom wieżach,
O dachach złotem pokrytych, o nawach,
Przepełnych ducha bożego!..... Nie pierwszy
Raz to pragnąłem wyrzucić z głębiny
Duszy ten kamień, co legł mi ciężarem
Na dniu dzisiejszym i na snach Przyszłości,
Na wymarzonych wszystkich jej nadziejach.
Nie poraz pierwszy chciałem dłoń jej schwycić
I, przycisnąwszy ją do ust, zapytać
Jej oczu jasnych i jej warg rumianych,
Czy mają dla mnie odpowiedź, mogącą
W ciemne krużganki mojego żywota
Wlać strugę światła. O nie raz jedyny
Byłem już bliski tej chwili, by, ręce
Mając na piersiach i z grzbietem skulonym,
Jak przebaczenia i świętej pociechy
Żądliwy grzesznik, jednym tchem jej wyznać,
Jaki huragan szalał pośród drogi,
Którą dotychczas kroczyłem! Jak w oczy
Sypał mi kurzu tumany, że rychło
Źrenica moja straciła wrażliwość
Na wielki urok promieni słonecznych
I że jej było najlepiej śród nocy!
Jak owa burza, wszczęta przez złe duchy,
Które w mem własnem zamieszkały wnętrzu,
Nietoperzowe roztaczała skrzydła
I niby pyłek na bagna mnie niosła
I jak z rosnących tamże jadowitych
Cykut straszliwy-m wyciskał eliksir,
Aby nim zatruć niejedną niewinną
Duszę! Nie pierwszy był to raz, żem pragnął
Do stóp jej upaść i, podniósłszy głowę
Ku jej źrenicom, zawołać: »Ty władzę
Posiadasz w sobie, daną ci przez siły,
Zmysłom człowieka nieznane, lecz w skutkach
Błogosławionych widoczne, że możesz
Już nie wyrazem, lecz ruchem, spojrzeniem,
Jak czarodziejskiem zaklęciem, z grzesznika
Twardej powłoki, by z ciemnej jaskini,
Nowego ducha wydobyć, światłością
Wszystkich strzelistych cnót promieniącego!
To, co w nim było dawniej potępieniem,
Przez ciebie będzie zbawiającą łaską!
Betezdą jesteś« — tak nieraz myślałem
Zwrócić się ku niej — »tą ewangeliczną
Sadzawką jesteś, której święte zdroje
Trąd obmywały z nieczystych! Czem wszystkie
Przewiny chmurnej przeszłości, gdy dzisiaj
Zabłyśnie nad nią siedmiobarwna tęcza,
Uwita z błysków twojej czystej duszy!«
To znów, gdym spojrzał w jej błękitne oczy,
Do lustrzanego jeziora podobne,
W którem odbija się głębia i ogrom
Niezmierzonego horyzontu niebios;
Kiedy przedemną lekki wietrzyk rozwiał
Jej włos jedwabny, igrający w słońcu
Połyskiem złota; gdym patrzał na kibić,
Smukłą, jak młoda brzezina; gdy wzrok mój
Spoczął na szyji łabędziej, białością
Odurzającej, lub na krągłych piersiach,
Kształt swój znaczących dwiema światła plamy
Na ciemnej sukni; gdym spojrzał na drobną
Stopę, przypadkiem lekko wysuniętą:
Krew we mnie wrzała! Sardanapalowej
Uczty płomienne migały obrazy!
Jak gibką gałąź giąć ją w swych uściskach!
Pokryć jej postać tysiącem całunków,
Ażby jej krwawe wystąpiły smugi,
Ażby omdlała w pieszczotach! Zapachem
Świeżego ciała wabion, z legowiska,
Jak noc ciemnego, dziki zwierz się skradał.
. . . .
. . . . Lecz rychło
Wstyd jakiś straszny pożerał me lice,
Czerwieniąc nawet powieki. Pochylon
Stawałem przy niej, jak ów pies obity,
A wierny panu swojemu! Nie mogłem
Opędzić myśli, która, jak złowieszczy
Ptak, mego serca dotykała skrzydłem
Piekielnie czarnem, szeleszcząc, że ona
Łagodnym wzrokiem wniknęła w najskrytszą
Toń mego wnętrza, spostrzegła w niem — zbrodnię
I za tę zbrodnię czuje bezgraniczną,
Bezdenną litość!.... I już nie marzyłem,
Aby jej ręką zapukać do wrótni
Utraconego Edenu, lecz, chłodnym
Przejęty dreszczem, pragnący »po życiu,
Przepełnem błędów i męczarń wypocząć

W zimnej mogile«, chciałem jej wyrazić
Owo życzenie pieśniarza, ażeby
Nie jak kochanka, oddana mi ongi
Ciałem i duszą, lecz »jak gołębica,
Jak wielki anioł miłosierdzia, przyszła
Na grób, usypan z ciężkiej, twardej ziemi,
I kilka świeżych rzuciła nań kwiatów«.

*
*   *

Jan Kasprowicz.
(D. c. n.)

Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu.

Tom IV. — **KOŚCIUSZKO.** — *Biografja z dokumentów wysnuła przez K. Poprzedzona rzutem oka na dzieje Muzeum Narodowego w Rapperswylu i katalogiem zbiorów kościuszkowskich, w temże Muzeum przechowanych. — Kraków. — Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswylu. 1894.*

I

Jest to książka gruba, złożona z dwóch części: pierwsza, zawierająca stronic 144, podaje krótką historję Muzeum Narodowego w Rapperswylu i katalog zbiorów, mających styczność z życiem prywatnem lub publicznem Tadeusza Kościuszki; druga część, poświęcona życiorysowi Kościuszki, wraz z dołączonymi oddzielnie odsyłaczami liczy 691 stronic. Szkoda, że dla dogodności czytelników, nie rozdzielono książki na trzy tomy.

Przechodzę odrazu do drugiej części jako najważniejszej i głównie zatrzymam się na powstaniu 1794 r., nie tylko dla tego, że ma ono w bieżącym roku aktualne znaczenie, ale jeszcze i z tego względu, że należyte onego ocenienie jest ważnem dla wytknięcia kierunku naszej polityki narodowej.

Autor jest historykiem z powołania. Widać to zwłaszcza w pierwszych trzech rozdziałach, które przedstawiają historję rodu Kościuszków i rodziny Tadeusza. Monografja ta rodziny szlacheckiej jest ważnym przyczynkiem dla naszego dziejopisarstwa. Widzimy w niej ciekawy proces przeistaczania się Kostiuszków w Kościuszków, który odbywa się żywiołowo, bez parcia z którejkolwiekbądź strony, skutkiem jedynie tylko przewagi jednej cywilizacji nad drugą.

Od rozdziału czwartego rozpoczyna się właściwy życiorys Tadeusza Kościuszki. Erudycja autora jest olbrzymia. Nagromadził on tak obfity materjał w tym przedmiocie, że odtąd każdy piszący o Kościuszce wyrządziłby krzywdę sam sobie, gdyby nie zabrał bliższej znajomości z dziełem autora. Prawdopodobnie jest ono owocem wieloletniej pracy. Autor zwiedził okolicę, gdzie się urodził Kościuszko, pozbierał tam rozmaite wiadomości, dostał się do archiwum petersburskiego, zużytkował w naszych muzeach znajdujące się dokumenty i przeczytał niemal wszystko, co pisano po polsku, francusku, niemiecku, angielsku i rosyjsku o naszym bohaterze dwóch światów. Powiadam, że przeczytał niemal wszystko, bo przeczytać wszystko mógłby wówczas tylko, gdyby istniała dokładna bibljografja tego przedmiotu — a nie wiem, czy Calliera jest taką, — i przytem gdyby wszystkie druki tego rodzaju były zgromadzone w jednej jakiej bibljotece. Prawdopodobnie więc w dziele p. K. są pewne opuszczenia i pewne niedokładności. I tak p. Antoni Kostecki w pisemku, wydawanem w Krakowie p. t. „Kościuszko“, prostuje w czerwcowym zeszycie, że Tadeusz Kościuszko nie uczył się u jezuitów w Brześciu, ale w szkole pijarskiej Lubieszowskiej (Lubieszów w województwie brzeskiem) od 1755 do 1761 r. Stwierdzonem to zostało aktami szkoły.

Udział Kościuszki w wojnie osad amerykańskich z Anglją o niepodległość jest dokładnie wykazany i sprawiedliwie oceniony. Autor przy tej sposobności słusznie zwrócił uwagę na Pamiętniki Macieja Rogowskiego (wydane w 1847 r. w Paryżu), który — mówiąc słowami p. K. — wart Paska i z animuszu rycerskiego, i z talentu pisarskiego. Rogowski był towarzyszem i biografem Kazimierza Pułaskiego. »Jakoś w końcu Decembra (1777 r.), na święta Bożego Narodzenia — opowiada on — zdarzyła nam się pociecha. Tadeusz Kościuszko, będący w obowiązkach inżynjera przy północnej armji na granicach Kanady, dowiedziawszy się, że Pułaski konsystuje w Trenton, przyjechał do nas za urlopem w gościnę. Kościuszko nie miał miny zawiesistej, jak p. Kazimierz, ale widać było na jego twarzy poczciwość i otwartość szlachecką, a przytem był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadomości: kompanja więc jego i dyskurs wielką nam przyjemność sprawiły. Choć równego wieku z Pułaskim (prawie, bo różnica wynosiła nie całe trzy lata), nie znali się z sobą w kraju, bo pierwszy jeszcze ślęczał nad książką, kiedy już drugi Rosjanom *pensa* zadawał: ale tu oto na cudzoziemskiej ziemi pokochali się mocno, przyjaźń dozgonną sobie obiecując. Po dziesięciu dniach zabawy, podczas których mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu, i odtąd go już oczy moje nie spotkały, dopiero w bitwie pod Dubienką 1792 r.«

Wypadki z życia Kościuszki, po powrocie jego z Ameryki, i służba jego wojskowa podczas kompanji 1792 r. były dosyć znane, i autor nie wiele w tym przedmiocie co dodał. Wyjaśnił wszakże dokładniej położenie majątkowe jenerała, które było więcej niż mierne. Po bitwie pod Dubienką, król mianował go jenerał-lejtnantem i dał mu szefostwo jednego z regimentów, które miało mu przynosić intraty rocznej prawie 40.000 złr. »dla ubogiego, zadłużonego dziedzica Siechnowicz« — jak powiada p. K. — była to wielka

fortuna. Wyrzekł się jej jednak i opuścił kraj ojczysty, nie chcąc służyć razem z »infamisami i zdrajcami«, jak nazwał targowiczan w przytomności króla.

Z sądami i poglądami autora możemy się godzić, niezawsze jednak w zupełności, aż do powstania 1794 r. I autor od tej chwili w opowiadaniu swojem przybiera taką postawę, jakby miał jakichś przeciwników przed sobą. Nie wymienia ich, lecz walczy z nimi. Nasamprzód, chciałby wmówić, że rewolucja 1794 r. nie miała nic wspólnego z rewolucją francuską. Dyskretnie przemilcza o walce stronnictw, ażeby przedstawić, że wszystko się działo, jeżeli nie najlepiej to w każdym razie dobrze; że zrobiono wszystko, co można było zrobić, i że powstanie upadło z wyczerpania sił. Mówiąc o zabiegach dyplomatycznych, stara się przekonać, że niczego nie można było spodziewać się od Francji, i nie widzi, ile krzywdy wyrządziło sprawie rewolucyjnej rachowanie na pomoc Austrji. Ostry w poprzednich rozdziałach dla panującej szlachty, łagodniejc dla niej, jak gdyby mogła ona w ciągu jednego roku odmienić się radykalnie. Mówi o bohaterstwie włościan w powstaniu; utrzymuje, że Kościuszko albo milczał, albo wypowiadał tylko to, co uważał za rzetelne; a przypuszcza jednak, że Naczelnik Narodu mógł istotnie przedstawiać Ossolińskiemu, że »przy ciemnocie, nieuctwie i zbydlęceniu włościan w Polsce, płonną byłaby obawa, że posuną swe żądania i nadzieje tak daleko, jak we Francji«. A przecież Kościuszko nie mógł nie wiedzieć o tem, co się działo na Ukrainie podczas konfederacji Barskiej, i sam przecież w r. 1792 radził rzucić oddział partyzancki na Ukrainę zadnieprską i powołać ją do powstania w imieniu wolności. Przytem, czytając list Ossolińskiego do ministra austrjackiego Thuguta, trudno nie spostrzedz, że piszący w zapędzie swej gorliwości spotwarzał i powstanie i Naczelnika. Autor staje się nawet stronniczym względem tych, o których wie, że domagali się energiczniejszego działania, rzetelnie rewolucyjnych środków. Powtarza on zarzuty, czynione Zajączkowi z powodu bitwy pod Chełmem i postępowania jego w Lublinie, chociaż sam powiada, że Wyszkowski złożył przychylne zdanie o Zajączku, i Kościuszko, pomimo zarzutów, zatrzymał go przy komendzie. Że Zajączek miał potrzebne uzdolnienie wojskowe, dowiódł tego i pod Racławicami i pod Gołkowem, i przyznał mu je taki ostry sędzia, jakim był Bonaparte. Mówiąc o naznaczeniu Michała Wielhorskiego na głównego komendanta wojsk litewskich, p. K. powiada: »uczuł się dotkniętym tą nominacją Jasiński, awansowany z podpułkownika na generała-lejtnanta za sprawę wileńską, ale nie wylegitymowany z talentów strategicznych bitwą pod Sołami 26. czerwca« (str. 404). Możnaby więc mniemać, że Jasiński nie otrzymał należnej mu pod każdym względem nominacji jedynie z powodu bitwy pod Sołami, tymczasem bitwa ta nastąpiła — jak to autor sam zaznacza (str. 377) — już po naznaczeniu Wielhorskiego. Autor przytem sam rozprawę pod Sołami nazywa słusznie potyczką z Benigsenem, a jednak dziwi się, że Jasiński tego dowódcy nie zniszczył zupełnie. Bitwa pod Sołami nie była jednak przegraną. »Obie bitwy pod Niemenczynem i pod Sołami — powiada Ogiński — sprawiły tylko ten skutek, że zmuszały wroga do obronnej pozycji, ale stanowczych rezultatów nie przyniosły«. Zmusić wroga do odpornej tylko roli — jest już korzyścią strategiczną.

Bolesław Limanowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Wszyscy ludzie, których autor »Traugutta« oskarża o wichrzycielstwo, o zamachy na »prawowity« Rząd Narodowy, niby na jakąś dynastję z bożej łaski (str. 15, 16, 17, 51, 52, 57, 62, 64 i inne) byli mnie bardzo dobrze znani od samego początku organizacji, po większej części osobiście i zajmowali w niej najwyższe stanowiska. Autor jest tak mało obeznany z ówczesnym ruchem, że zmieszał w swoim akcie oskarżenia najprzeciwniejsze kierunki, n. p. Chmielińskiego i Mierosławskiego, i niekiedy o tyle niesumiennym, że zalicza do owych zamachów »czerwonych« te, które były uskutecznione przez jego własne stronnictwo, jak całemu światu wiadomo, n. p. dyktaturę Langiewicza (str. 87). Powiem więc, kto należał do owych »warchołów, wichrzycieli, pyszałków, szumowin«, i zaczynam od głównych oskarżonych.

Jan Wernicki (str. 51) był przy mnie w lecie 1862 r. członkiem Komitetu Centralnego, a nie »jakimś tam podrzędnym urzędnikiem ekspedycji druków«, jak pisze autor, bo on właśnie zorganizował z Winnickim pocztę, która, dzięki temu, że oni tylko wiedzieli o niej, a nie Majewski,

Awejde i Sp., nie dostała się do rąk moskiewskich; p. B. wyraźnie to oświadcza (zesz. I. 213): »Poczta narodowa była utrapieniem wszystkich komisji. Okoliczności się tak złożyły, że do końca nie mieli o niej żadnego pojęcia«. Jezuickie zatem oskarżenie Wernickiego o »zdenuncjowanie Traugutta« (*sic!* zesz. II. str. 140), jest nasamprzód oczywistem nieprawdopodobieństwem w obec czterech tomów zeznań Awejdy (Berg. Tom III. *passim*), a przytem niegodziwością, ponieważ to, o czem wiedział Wernicki, wiedziałem ja, wiedział Stanisław Frankowski, wiedzieli inni nasi, jest dotychczas dla Moskali zakrytem — a wydrukowali czarno na białem wszystko to, o czem wiedzieli Majewski, Awejde i inni przyjaciele i bohaterowie autora. Szanowny oskarżyciel korzystał widać dla oczernienia Wernickiego z tego, że krążą o nim niepochwalne pogłoski co do jego prywatnego postępowania (*cherchez la femme*); ale mogę świadczyć że z pewnością organizacji nie zdradził — o ile wiem.

Ignacy Chmieliński był członkiem pierwszego komitetu, razem z Władysławem Daniłowskim, na początku 1862 r., i jednym z najczynniejszych propagatorów ruchu — nie zaś jakimś tam warchołem, który nic nie robił, a psuł wszystko. On był »majstrem od zamachów«, np. na Lüdersa, na Berga, a wybierał zawsze wyższe głowy, nie zaś, jak rząd biały, czerwcowy, jakichś nędznych i podrzędnych szpiegów, często niewinnie oskarżonych, jak o tem świadczy nieodżałowane stracenie, z rozkazu białych, moskala Nikiforowa, oficera naszego, przez Lelewela. (Struś: Ludzie i Wypadki). Z powodu swojego ultra terrorystycznego usposobienia usunięty został w maju 1862 r. i ja właśnie wstąpiłem do komitetu z Gillerem na je o miejsce; bo byłem względnie umiarkowanym, w porównaniu np. z niektóremi późniejszemi ozdobami białych Rządów. Używaliśmy jednak jego podpisu do samego powstania, np. na kwitach podatkowych (są w Ossolineum), a to ażeby tradycji nie przerwać; o tem piszę w Zesz. I. str. 179. Chmieliński marzył tylko o sztyletowaniu, wieszaniu, o bombach i zamachach, czemu byłem — wogóle — stanowczo przeciwny, chociaż musiałem się czasami z nim i z większością Komitetu chętnie zgodzić, np. co do Wielopolskiego; ale byłbym Ignacego z przyjemnością osądził na śmierć po zamachu na Konstantego, nie za zamach, a za oszukanie Jaroszyńskiego i fałszowanie rozkazu. Pomimo twierdzeń autora, że Ignacego brat, Zygmunt Chmieliński nie podzielał krańcowych przekonań Ignacego (II. str. 129) oświadczam, że tak nie było; obaj byli jednakowi, o czem mogą świadczyć wszyscy ci, którzy służyli pod Zygmuntem, jednym z najdzielniejszych naszych dowódzców. Oni to razem urządzili w 1862 r. z bezbronną organizacją powiatu Warszawskiego próbę zawładnięcia Modlinem, o której się nawet Moskale nie dowiedzieli, ale z powodu której Arnold i Śliwicki zostali powieszeni.

Chmieliński nigdy przeciw nam zamachów nie urządzał, ale że był niekarny do najwyższego stopnia, to prawda; a że zbyt prawdziwie osądził rozmaite osobistości, które koniecznie chciał sprzątnąć (Stanisław Frankowski ledwo uratował Karola Majewskiego w wrześniu 1863 r.) późniejsze wypadki aż nadto pokazały. Walczyłem przeciw niemu wściekle, i hamowałem go ile mogłem, bo jego metoda jest stanowczo złą; dobra sprawa nigdy na morderstwie nie wygra. Chyba ci, którzy powstania nie chcieli, powinni by pochwalić zabójstwo Wielopolskiego, bo gdyby zginął, wybuchu by z pewnością nie było; jestto także dowodem niewielkiego rozumu Chmielińskiego, który chciał najprędszego powstania, a gwałtownie dążył do usunięcia jego głównego sprawcy.

Pomimo swoich wad, Chmieliński był niezaprzeczenie uczciwym, nie intrygantem, nikogo nie wydał, jak inni, i odznaczał się, jak Zygmunt, wielką odwagą; tem niegodziwsze są ciągłe oskarżenia go przez autora o tchórzostwo (str. 16, 54, 73). On, który podług autora »nigdy się nie narażał«, był poszukiwany od sierpnia 1862 r., na jego głowę naznaczyli cenę, znany był w całej Warszawie, więc sam jego przyjazd był czynem niezwykłej odwagi takiejby nie odszukać u żadnego z jego przeciwników, którzy rzeczywiście »drapnęli« (wyrażenie autora) bez powrotu, po najpierwszem podejrzeniu.

Bronisław Szwarce.

ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach.

Napisała

Helena Ceysinger.

(Ciąg dalszy.)

ANDRZEJ. Alеż ojciec mój nie zgodzi się nigdy.

GRIMANI. To też posłuchaj naszej rady, książę.....

DOŻA (przerywając). Załogi nasze w Dalmacji oddajemy pod twoje rozkazy. Połącz powierzonych ci górali z żołnierzami naszymi. Niechaj od tego zacznie się akt braterstwa! Wtedy na czele zbrojnej siły dwóch połączonych narodów poszlij ojcu podany ci tu traktat.

GRIMANI. Wiele ten czyni, co musi....

DOŻA (przerywając). Przekona się o bezzasadności gniewów swoich i wiem, że dla mi-

łości ojczyzny, którą ukochał nad wszystko, zrzeknie się ambitnych marzeń swoich. Tak, młodzieńcze, ubliżałbyś ojcu, gdybyś mniemał, że nie postawi dobra kraju po nad wszystkiem innem.

ANDRZEJ. Ach, to wszystko, co mówicie jest słusznem, ale ja tego uczynić nie mogę....

MONEGARIO (przystępując do Andrzeja). No, Andreo, przyjacielu, bawiliśmy się i szaleli razem, na co nam teraz zabijać się wzajemnie. Podpisz, co chcę! Zostajesz księciem, może mi swoim błaznem nadwornym być pozwolisz? W każdym razie zabieraj mnie do Dalmacji (śmieje się. Andrzej się uśmiecha. Doża, Grimani i Bianca rozmawiają na stronie).

MOREDANO. Słuchaj, oni mają słuszność. Zostaw politykę starym Niech żyje miłość! (ciszej) Niech żyje Bianka, księżna Dalmacji!

ANDRZEJ (coraz bardziej zmieszany, ściskając ich ręce). Nie, nie, dziękuję wam, przyjaciele! Zostawcie mnie memu losowi! Ach, wy nie znacie mego ojca! Dosyć już, żegnam was... (chce odejść).

BIANCA. Signor Andreo, a dla mnie czy żadnego słowa pożegnania?

ANDRZEJ (zatrzymuje się). Signora....?

DOŻA. Mam nadzieję, że to nie ostatnie twoje słowo, mój synu!

GRIMANI. Wychodzimy i zostawiamy cię z szlachetną Biancą Moncenigo. Może ona znajdzie argument na zwalczenie skrupułów, których my nie mogliśmy zwyciężyć. Kobiety w kwestjach sumienia daleko subtelniej rozumować potrafią, niż my.

(Wychodzą. Marco i Georgio ściskają Andrzeja za ręce, uśmiechając się znacząco).

SCENA III. Andrzej. Bianka.

(Bianka zbliża się ku niemu powoli, patrząc mu w oczy. Ręce obydwie kładzie mu na ramionach. Andrzej przyklęka, ona zarzuca mu ręce na szyję i na ustach jego wyciska pocałunek)

ANDRZEJ (zrywając się). Pani!

BIANCA (z uśmiechem). Czy kochasz mnie, mój ukochany?

ANDRZEJ (chwytając ją w objęcia). Śmierć i życie dla ciebie!

BIANCA (z wdziękiem). Czy przyjmiesz mnie Andrzeju na księżnę Dalmacji?

ANDRZEJ (wyczerpany osuwa się na ziemię). Bianco, Bianco moja, co ty mówisz?

BIANCA. Wstań, podpisz ten papier, a jam twoja na zawsze, na wieki! (podaje mu pióro i ramieniem obejmuje szyję. Andrzej podpisuje i rzuca pióro).

BIANCA (całując go). Oto nagroda, kochanku mój!

ANDRZEJ. W ust twoich płomieniu tonąłbym wiecznie! Pozwól mi umrzeć u stóp swoich... Jak pachną róże... jak wonieją włosy twoje... (chwieje się).

BIANCA. Opamiętaj się! Rozstać się musimy zaraz, dziś jeszcze, statek twój odpływa. Andrzeju idź, zwyciężaj i wracaj! Bianca cię czeka.

ANDRZEJ (wpatrzony w nią). Przykuwasz mię namiętnym żarem twoich oczu! Odejść nie mogę.

BIANCA. Idź, idź prędzej (zdejmuje pierścionek). Weź to, małżonku mój!

(Andrzej rzuca się do jej stóp, całuje i wybiega).

(Bianca stoi zamyślona. Po chwili klaszcze w ręce, we drzwiach ukazuje się Marja).

BIANCA. Proś senatorów, którzy czekają w sali białej.

(Po chwili przeciwnemi drzwiami wchodzą Doża, Grimani, Monegario i Loredano).

SCENA IV. Bianca, Doża, Grimani, Monegario i Loredano.

BIANCA (milcząc podaje Doży podpisany przez Andrzeja dokument).

DOŻA (z radością). Podpisał! Brawo, moja siostrzenico! Oto jak się rzeczy przy pomocy pięknych kobiet załatwia. Ojczyzna winna ci swoje ocalenie [zwracając się do senatorów]. Nie wiecie czegośmy uniknęli dzięki temu [wskazuje na dokument]. Zataiłem przed wami niebezpieczeństwa, które ze wszystkich stron walą się na Wenecją. Jeden Grimani podzielał tylko mój niepokój. Teraz udało nam się rozerwać związek naszych wrogów. Czy wiecie? Wczoraj Genua wypowiedziała nam wojnę.

LOREDANO. Czyż ruch w Dalmacji stoi z tem w związku?

DOŻA. Niewątpliwie. Ale gdzież nasz sprzymierzeniec?

BIANCA. Nie wiem. Uciekł przed chwilą jak szalony.

DOŻA. Jerzy! Mesco! Biegnijcie za nim, a jak znajdziecie, prowadźcie do mnie. Czekam na niego z Morosinim.

(Monegario i Loredano składają ukłon Biance i wychodzą).

DOŻA. Dziękujemy ci Bianco! Z synem tedy sprawa skończona. Teraz z tą gołębicą dalmacką rozprawić się będzie potrzeba. Co z nią zrobiłaś?

BIANCA. Claribel strzeże jej jak własnej źrenicy.

DOŻA. Każ ją przyprowadzić. Wracam gdy wyprawię tamtego (wychodzi).

SCENA V. Bianca i Leonardo Grimani.

LEONARDO. Czy wolno zapytać, jakim sposobem zdobyłaś pani ten podpis?

BIANCA. Co panu na tem zależy? Czyś zazdrośny?

LEONARDO. O bynajmniej! (śmieje się). A gdyby tak było, bacznie strzegłbym tajemnicę tej słabości mojej, wiedząc jak nielitościwy użytek zrobiłabyś z niej pani.

BIANCA. Nie zrobiłabym żadnego użytku. Dawniej bawiłoby mnie to. Dziś mi jest obojętne.

C. d. n.

Z NOWSZEJ LITERATURY MAŁORUSKIEJ.

(Dokończenie).

Trzeba wiedzieć, że dramat i komedja — są to jedyne rodzaje literatury, które jeszcze jako tako mogą się rozwijać na Ukrainie. To też literatura dramatyczna wybujała tam w ostatnich czasach niepospolicie. Sama cenzura, zabraniająca trupom małoruskim wystawiania sztuk, przedstawiających życie inteligencji, mimowoli przyczyniła się do wyrobienia się na Ukrainie oryginalnego dramatu ludowego, jakiego nie posiadają, ani Polacy, ani Rosjanie, a którego przedstawicielami są przedewszystkiem: Starycki, Karpenko-Karyj i Kropiwnicki. Teatr na Ukrainie odegrywa bardzo ważną role budziciela uśpionej świadomości narodowej u inteligencji zruszczonej.

Z szarego tłumu powieściopisarzy ukraińskich najmłodszej generacji chlubnie wyróżnia się Wasyl Czajczenko. Jest on niewątpliwie najbardziej utalentowanym i najpracowitszym współczesnym pisarzem małoruskim w Rosji. Pisuje on drobne opowiadania i powieści większych rozmiarów, drukuje dużo poezji oryginalnych i tłumaczonych, zamieszcza w kilku pismach galicyjskich artykuły treści publicystycznej, sprawozdania i wzmianki krytyczne i t. d. Jest on typowym przedstawicielem tego najmłodszego pokolenia ukrainofilów, którzy już nie zapatrują się na swą działalność jako na zabawkę lub rozrywkę, ale widzą w swej pracy literackiej środek do osiągnięcia pewnych celów narodowych, jeśli nie politycznych, to przynajmniej kulturnych. Jako szczery demokrata postawił sobie Czajczenko za cel uświadomienie szerszych warstw ludowych. Postanowił on przyczynić się do tego, ażeby lud otrzymywał oświatę w formie jaknajbardziej dla niego przystępnej tj. w swojej mowie rodzimej. W tym celu wydaje Czajczenko znaczną ilość książeczek dla ludu — treści beletrystycznej w Rosji, a popularno-naukowej w Galicji. Oświacie ludowej poświęcił on cały szereg artykułów, z których widać, że ma plan gotowy, który usiłuje — o ile może — urzeczywistnieć. Przykład Czajczenki pobudził całe grono pisarzy młodszej generacji do zajęcia się oświatą ludową, to też obecnie na Ukrainie coraz to więcej wychodzi książek dla ludu. Obok tego jednak nie traci Czajczenko z oka inteligencji ukraińskiej, starając się w swych utworach większych rozmiarów rozbudzać jej świadomość narodową, nakreślić niejako program jej działalności narodowo-społecznej. Z tego powodu przeważna część jego utworów zawiera dużo pierwiastku publicystycznego, co poniekąd szkodzi ich wykończeniu artystycznemu. W ciągu dwu lat ostatnich we Lwowie ukazały się trzy spore tomiki jego utworów beletrystycznych, z których pierwszy zawiera kilkanaście drobnych opowiadań, inne zaś dwie powieści: „Promień słoneczny“ i „Na rozdrożu“. Najbardziej udatnymi są jego obrazki z życia ludu, przedstawiające wierne odbicie rzeczywistości. Słabsze natomiast są powiastki osnute na tle stosunków sfery inteligentnej. W tych ostatnich Czajczenko nadużywa często tendencji, wskutek czego główne postaci bohaterów tych utworów wyglądają nienaturalnie. Najlepszą pracą Czajczenki jest powieść: »Promień słoneczny«. Zostało w niej odmalowane życie zmoskwiczonej inteligencji ukraińskiej na tle stosunków wsi małoruskiej w Noworosji. Przesuwa on tu przed nami całą galerję wybornie skreślonych typów współczesnego społeczeństwa Rusi południowej, poczynając od wstrętnej postaci petersburskiego biurokraty „obrusitiela“, a kończąc na wiejskim „hłytaju“, pjawce, która wysysa soki z chłopów, uwikłanych w jej matnię. Najmniej udał się autorowi główny bohater powieści — student-ukrainofil, w usta którego włożył Czajczenko swą *profession de foi* narodową i społeczną. Bohaterka — zwyczajna panna z domu obywatelskiego, która pod wpływem ukochanego człowieka staje się gorącą patrjotką małoruską i demokratką, idzie pomiędzy lud, ażeby pracować dla niego — ma w sobie również dużo nienaturalnego. Pyszne natomiast są sceny z życia ludu, dosadnie malujące demoralizacją, spowodowaną wynarodowieniem. Gorąca miłość tego ludu, demoralizowanego i wyzyskiwanego tak przez obcych, jak i przez swoich, cechuje każdy utwor Czajczenki. Druga z większych powieści Czajczenki »Na rozdrożu« ma te same wady, co »Promień słoneczny«, tj. nienaturalność w charakterach głównych postaci, nie dorównywa mu jednak pod względem zalet artystycznych. W obu powieściach widocznem jest już pewne wyrobienie się talentu pisarskiego autora, umiejętność w posługiwaniu się środkami techniki powieściopisarskiej i zdolność wywołania u czytelnika gorącego zaciekawienia się losem bohaterów. Niektóre zaś sceny, jak naprzykład opis choroby i śmierci bohaterki »Promienia słonecznego« sprawiają wstrząsające wrażenie. Czajczenko jest pisarzem jeszcze młodym, to też spodziewać się należy, że obdarzy on piśmiennictwo małoruskie nie jednym jeszcze utworem wartościowym. Wkrótce ma wyjść we Lwowie zbiór jego poe-

żyj oraz przekład „Dziewicy Orleańskiej“, tudzież „Wilhelma Tella“ przezeń dokonany.

Na polu naukowem Rusini, znacznie postąpili w ostatnich czasach. Faktem bardzo doniosłym jest przekształcenie »Towarzystwa imienia Szewczenki« na instytucję naukową, około której skupi się przeważna część uczonych małoruskich. »Towarzystwo« wydaje organ »Zapiski«, których dotąd pojawiły się trzy tomy. Na treść ich składają się prace autorów z obu stron kordonu jak: Gruszewski, Koniski, Rylski, Panaczowny, Kolessa i t. d. Z dzieł naukowych, które się w ostatnich czasach ukazały, na pierwszem miejscu postawić należy „Historję literatury małoruskiej“ prof. E. Ogonowskiego, która stanowi nieprzebraną skarbnicę wiadomości bio-i bibljograficznych i będzie mogła posłużyć za fundamenta do naukowego opracowania literatury małoruskiej Szkoda tylko, że prof. Ogonowski drukuje swe cenne dzieło pisownią etymologiczną, przez co uniemożebnia korzystanie z niego szerszej publiczności na Ukrainie. Z uczonych młodszego pokolenia najwięcej rokuje nadziei Aleksander Kolessa, kilka pięknych prac którego drukowało się w »Zapiskach« i w »Zorji« między innemi, wyborne studjum o Fedkowiczu. Bardzo ważnem dziełem jest „Słownik rosyjsko-małoruski“ opracowany przez grupę literatów ukraińskich, a wydawany jako dodatek do »Zorji«. Wielkie znaczenie ma również »Słownik terminów prawniczych«, wydany przez dra K. Lewickiego. Z powstaniem dwumiesięcznika »Życie i słowo« zjawia się nowe ognisko, dokoła którego skupi się grono pracowników na polu naukowem z obozu postępowego.

Bardzo szybko rozwija się prasa rusińska. Obecnie wychodzi w Galicji i na Bukowinie siedmnaście pism czasowych w języku małoruskim najróżnorodniejszej treści od naukowych poczynając, a na humorystycznych kończąc.

L. Wasilewski.

Przegląd pism.

Zbiór wiadomości do antropologji krajowej wydawany staraniem komisyi antropologicznej Akademji Umiejętności w Krakowie. — Tom XVII. — Kraków 1893. — 8-vo stronic VI. + 172 + 339 z mapą, ryciną chromolitograficzną, tablicą i rycinami w tekscie.

Najświeższy tom tego cennego wydawnictwa Akademji naszej rozpada się na dwa działy: archeologiczno-antropologiczny i etnologiczny. Pierwszy zawiera cztery, drugi zaś sześć rozpraw.

Dr. Wł. Olechnowicz, który już dał się poznać w naszej literaturze naukowej z kilku sumiennych prac antropologicznych, podaje charakterystykę antropologiczną polskiej ludności gubernji lubelskiej, skreśloną na podstawie pomiarów, zebranych w szpitalu miejskim w Lublinie. Ogółem zebrał p. Olechnowicz 384 pomiarów, podzielonych na trzy grupy (inteligencja, ludność miejska i włościanie). Materjał swój traktował p. Olechnowicz w sposób porównawczy, zestawiając uzyskane przez siebie dane z danymi, pochodzącymi z innych miejscowości Polski i Europy.

Ściśle antropologiczny charakier ma również praca dra J. Talki Hryncewicza »Charakterysyka fizyczna ludów Litwy i Rusi«. Dr. Talko Hryncewicz od kilku lat poświęca się z polecenia Akademji Umiejętności badaniom antropologicznym na obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Badał on już w r. 1890 lud ukraiński, w r. 1892 żydów ukraińskich i litewskich, obecnie zaś podaje wyniki swych badań nad Litwinami, Łotyszami, Białorusinami i polską ludnością Podlasia. Praca dra Talki Hryncewicza zaopatrzona jest w mapkę etnologiczną, na której oznaczone są granice obszarów etnograficznych każdego z plemion Litwy i Rusi. Zestawiwszy zebrany przez siebie materjał z innymi danymi antropologicznymi, autor dochodzi do kilku ciekawych wniosków np. że Litwini, Łotysze i Białorusini wybitnie zachowali rysy pokrewne Finom. W najbliższej przyszłości Dr. Talko Hryncewicz obiecuje opracować fizyczną charakterystykę ludności Podola. Kiedy to zostanie dokonane, wówczas będziemy mieli dokładny obraz antropologiczny wszystkich sześciu ludów, zamieszkujących obszar dawnej Rzeczypospolitej.

W pracy »Kurhan pepowiecki« p. F. Puławski zdaje sprawę ze swych poszukiwań archeologicznych na Podolu rosyjskiem, a p. B. Podczaszyński opisuje wykopalisko z grobu ciałopalnego we wsi Dembe pod Kaliszem.

Dr. R. Zawiliński zapoznaje nas z najmniej dotąd znaną latoroślą szczepu polskiego, mianowicie z góralami polskimi na Węgrzech. Z powodu niepomiernych trudności, jakie napotyka badacz, chcący się zająć studjowaniem życia Polaków węgierskich, drowi Zawilińskiemu udało się otrzymać dość szczupły zasób materjałów etnograficznych, w każdym razie jednak i to, co mu się zebrać udało, stanowi bardzo ważny przyczynek do etnografji ludu polskiego. Pomimo właściwości mowy, charakteru, ubioru i nazwisk, Polacy węgierscy są uważani przez sąsiadów za Słowaków, zaś nauczyciel i proboszcz (słowaccy) »ukamienowaćby gotowi uważającego ludność tamtejszą za Polaków«. Na początek Dr. Zawiliński ograniczył się wsią Skalite, leżącą w komitacie trenczyńskim. Praca dra Zawilińskiego jest ozdobiona rysunkami, przedstawiającymi typy górali polaków tudzież ich budynków.

P. Michał Rawicz Witanowski podaje obszerną monografię ludu wsi Stradomia pod Częstochową. P. A. Hurynowicz przynosi znaczny zbiór rzeczy białoruskich z powiatu święciańskiego gubernji wileńskiej, zawierający pieśni i zagadki. Prof. B. Gustawicz dał zbiór zagadek i łamigłówek ludowych, pochodzących z różnych miejscowości Galicji i ze Spiżu.

Bardzo ciekawe materjały zebrał p. B. Segel. Są to powieści, baśnie, pieśni, wierzenia i przesądy żydów wschodnio-galicyjskich. Wobec roli, jaką odgrywają żydzi u nas oraz wobec tego wpływu, który wywarli oni na twórczość ludu naszego, materjały przez p. Segela zebrane, stanowią bardzo ważny przyczynek do studjów folklorystycznych. Na końcu niniejszego tomu zamieszczono nutki ludowych pieśni litewskich, spisane przez p. S. Kiborta.

L. Wasilewski.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.